Kto mnie znajdzie, znajdzie żywot



i wyczerpie zbawienie od Pana!

MARYA — ZBAWIENIE AFRYKI.

W kaplicy Matki Bożej.

Świątynia drży pieśnią, lśnią się świateł krocie,
A serce goreje, a głowa się chyli,
Wśród świetnych klejnotów, w brylantach i złocie,
Króluje obraz cudowny Maryi.

Gdzie jestem? W kaplicy, w tej samej, co króle
Do Maryi swe modły wznosili;
W tej samej, co Marya wszystkie ludzkie bóle
Koiła i koi każdej, każdej chwili.

Czemu dziś tak jasno? Czemu świateł tyle?
Gromnicznej Maryi święto obchodzimy.
Zanim dłonie nasze odpoczną w mogile
Uchwycą gromnicę, którą dziś święcimy.

Święcimy gromnicę, rozświecamy cienie,
Torujem tę ścieżkę przed nami,
Na którą nie dotrą słoneczne promienie,
Na którą wstąpimy — już sami.

Czyż sami? O Maryo, Tyś jest naszą Matką!
Ty o nas się troszczysz jak o Syna Twego,
Tyś z Nim wszędzie była, bądź z przybraną dziatwą,
I tu i po śmierci wybaw nas od złego!

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

XIII.

W drogę!

W drogę, przyjaciele czytelnicy! Towarzyszcie mi myślą; nie zapraszam was do rzeczywistego wdrapywania się na nasze skały, za wieleby wam to sprawiło trudu! Zresztą nieustanna wędrówka, to urząd roznosicieli Ewangelii. Przebiegać góry i doliny, katechizując tu i ówdzie, odwiedzając chorych, biednych trędowatych i chrześcijan naszych, oto prawdziwe życie apostolskie z jego piołunem i słodyczą i całą surową poezyą; spotykać się na każdym kroku z niebezpieczeństwem, z dziczą malowniczą, czarującą, straszną, istna mieszanina wrażeń, słońca, deszczu, wszystkiego po trochu! A przedewszystkiem pogoda i radość w sercach, niezbędne one w życiu misyonarzy, a gdy ich niema, to się je stwarza, i płacząc śmiejemy się równocześnie. Wyruszajmy zatem w drogę!

O kolejach, automobilach, rowerach, wózkach, a choćby nawet taczkach, mowy być nie może! Pieszo lub na mule, innego wyboru niema, chyba że czasem zmuszają okoliczności do podróży na własnym grzbiecie, ściślej mówiąc... siedzeniu, gdy pochyłość ślizka, co i tem lepiej, bo tem prędzej dociera się do celu!

Nie pomyślano jeszcze o środkach komunikacyjnych w tych stronach, drogi bowiem zaledwie zaznaczone; wstęga ścieżyny na dwadzieścia pięć centymetrów szerokiej oznacza miejsce,

którędy wszyscy przechodzą; nie rzadko ścieżyna ta, jak gdyby zmęczona czepianiem się stoku gór schodzi w przełęcze, gubiąc się w wyschłem łożysku strumienia. Najczęściej jednak stąpa się po dużych odłamach skał spadłych z gór, lub nagromadzonych siłą prądu strumieni, trzeba przeskakiwać ze skały na skałę, ryzykując upadek w przełęcz, jeśli poślizgnie się noga i dlatego to najczęściej nosi się trzewiki — na ramieniu! Do dalszych podróży używa się mułów, podróżując, jak się da, czasem na, czasem przed, a czasami pod mułem, przyczem znosić trzeba ukłucia ostrych cierni krzewów i śpiewy wyprzedzających nas, naszych czarnych ludzi, podczas gdy słońce darzy swemi gorącemi pieszczotami!

W podróżach tego rodzaju spotyka się często węże 10 do 12 metrów długie, lamparty, które na widok ludzi zmykają najczęściej do swych nor, co jest bez wątpienia najchwalebniejszą z ich całodziennej czynności [1]; gromady hyen, które zwłaszcza nocą snują się, wyjąc opodal obozowiska, tem przeciągłem żałosnem wyciem, podobnem do skargi męczonego dziecka. Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać lwa, jednak jest ich tutaj poddostatkiem wszędzie, i to nader pięknych okazów. O. Coulbeaux, który spędził 33 lat w Abissynii, rozminął się pewnego razu z lwem na trzymetrowej przestrzeni, lecz król zwierząt zawył tylko z cicha, zapewne na znak pozdrowienia. Innym znowu razem, przejeżdżając przez wąwóz, spostrzega, że muł jego ociąga się, a wkońcu staje, pomimo, iż przewodnik nawołuje go energicznie do porządku. Wtedy rozejrzawszy się uważnie około siebie, dziecię gór ukazuje ręką gąszcze, wołając: „Oto tam jest lew!“ Na te słowa misyonarz zsiada z muła. „Czy macie broń?“ — pyta przewodnik. — „Mamy mały rewolwer!“ Lecz przewodnik obejrzawszy, odrzuca go z uśmiechem, poczem mówi: „Posłuchajcie, ja mam włócznię, rozniecę zaraz ogień, a wy uzbrójcie się w głownie płonącą.“ Mówiąc to, podpala najbliższe krzaki. Zbudzony lew patrzy zdziwiony, przeciąga się i... pomału, majestatycznie... odchodzi w góry. [2])

Tego rodzaju spotkania ograniczają się zwykle na wrażeniach, mniej lub więcej silnych! Jest bowiem nad nami Bóg, który nas strzeże!

Obok tego, ma się wrażenie jak gdyby olbrzymiego zwierzyńca, oko spoczywa z przyjemnością na licznych przedsta-

---

[1]) Znachodzi się również i gromady małp rozprawiających żywo o teoryi Darwina.

[2]) X. Biskup de Jacobis odmawiał pewnego dnia brewiarz swój w pustyni u stóp drzewa, gdy oto w odległości jakich 15 m. na wzgórzu ukazuje się lew. Nie zmieszało to jednak wcale naszego misyonarza, który z całym spokojem modli się dalej, wobec czego lew, zrozumiawszy sytuacyę, powrócił do siebie.

wicielach „żywych klejnotów natury“, które rozweselają podróżnych, wplatając wesołą nutę w dziki nastrój krajobrazu.

Lecz oto południe!... Stacya X.... wszyscy się zatrzymują. Mamy przed sobą godzinę wypoczynku i posiłek. Woda możliwa lub niemożliwa do picia... Popasajmy więc, a jeśli macie ochotę, asystujcie naszej uczcie!

Czy mieliście kiedykolwiek sposobność obiadowania z misyonarzem w szczerem polu? Nie? Wielka szkoda, bo to ciekawie wygląda! Oto znajduje się on w głębi dzikiego wąwozu sam na sam ze swym przewodnikiem; słońce pali... dokoła ani źdźbła trawy, jedynie wystający odłam skalny użycza nieco cienia! Rondle, półmiski, talerze, szklanki, sól, pieprz, oliwa i ocet, wszystko to pozostało w misyi, tłuszcze i masło zaś... w Europie, lub... na dnie morza Czerwonego, gdzie utonęły! Stołem naszym nagi grunt, na tej samej wysokości są nasze krzesła, a łyżki i widelce.... u kończyn dłoni! O, jakże piękną rzeczą jest cy-wi-li-za-cya! Lecz misyonarz umie sporządzić smaczną wieczerzę za pomocą zapałki, dobrego apetytu, mąki jęczmiennej i trochę brudnej wody! Oto jak się to dzieje. Zawsze praktyczniejszy przewodnik, rozniecił już ogień. Na płonące drzewo układa kamienie, które wkrótce stają się rozżarzone. Poczem na odłam skały wysypuje trochę mąki jęczmiennej, z której wyrabia ciasto, dodając nieco, w dłoniach przyniesionej, czarno żółtej gnijącej wody! Skoro ciasto zostało zamieszane, przedziela je na dwie części, przekładając rozpieczonym kamieniem, którego zadaniem jest wypiec ciasto z wewnątrz, z zewnątrz zaś dokonują tego kamienie, na których ułożył zarobione ciasto. I oto dzieło ukończone! Zacny towarzysz nader z siebie kontent, wygłasza uprzejme: „Obiad na stole!“ — poczem rozpoczynamy ucztę.

Doprawdy, że placek ten owsiany wcale niezły, zwłaszcza gdy się jest bardzo głodnym. Jest on jednak nieco za suchy, a zwłaszcza za ciężki dla biednych żołądków europejskich! Gdy się go ma dosyć, przewodnik z ochotą zmiata resztę. By ugasić pragnienie, misyonarz udaje się do małego gnijącego bagienka i odpędziwsy bestye większego kalibru, pije zeń, jak się da, wedle sposobu gedeonowych żołnierzy. Nie mówcie mi o żadnych mikrobach. Nie znane są one tutaj zgoła. A raczej przed wypiciem żegna się wodę, aby je z niej wypłoszyć. Po skończonej wieczerzy ruszamy na nowo w drogę.

Jeśli noc zaskoczy misyonarza w drodze, nocuje on wtedy w hotelu „pod gołem niebem“, jeśli posiada namiot, rozpina takowy na pustyni, w przeciwnym zaś razie owija się kocem, roznieca ogień dla postrachu drapieżców i u stóp pierwszego lepszego drzewa przesypia noc o tyle o ile, podczas gdy przewodnicy wartują kolejno. Również podróżować można na sposób czcigodnego O. Coulbeaux, o którym wspomniałem wyżej.

Zmuszony do podróżowania w porze deszczowej, spędzał on noce siedząc na pakach zawierających jego ruchomości, osłaniając je, zarówno jak i siebie, obszernym swym płaszczem. I to przy ulewnym deszczu wśród pustyni! Przyznajcie, iż w takich okolicznościach w najlepszym razie nazwać można noc tylko oczekiwaniem dnia!

Oto jak podróżnje misyonarz, ten roznosiciel Ewangelii, ten Boży „żyd wieczny tułacz!“ Życie jego jednem jest pasmem niebezpieczeństw, lecz skądinąd wiele też w nim chwil radosnych. A gdy opuszczają siły, wznosi wzrok ku niebu, szepcąc: „Wspomóż mnie, Boże mój, albowiem wiesz, iż pracuję dla Ciebie!“ — A słodki głos odpowiada natychmiast: „Odwagi dziecię moje, droga wprawdzie ciężka, lecz nie długa, a u kresu jej — niebo!“

Korespondencya misyjna.

WIKARYAT APOSTOLSKI LOANGO.

List O. Kieffer'a C. S. Sp.

MISYA NSESSE.

Noc Bożego Narodzenia w lesie Mayomby. — Założenie misyi Nsesse. — Pierwsze wyniki pracy.

Czcigodna Pani!

Od kilku już miesięcy noszę się z myślą napisania tego listu i zawsze z powodu zajęć odkładam do jutra. Jest jednak jeszcze inna przyczyna mego milczenia: oto rodzaj obawy czci pełnej, by nie powiedzieć zabobonnej, paraliżującej mi rękę, gdy idzie o nakreślenie pierwszych słów listu do Pani. A jednak, w życiu codziennem, nie należę bynajmniej do nieśmiałych. Tak, lecz gdy pomyślę o tych wszystkich listach dzień w dzień do Czcigodnej Pani napływających, o tych długich odezwach piętrzących się na Jej biurku, o tych opowiadaniach zajmujących, urozmaiconych illustracyami, nadsyłanych przez innych misyonarzy, bardziej odemnie uposażonych pod względem czasu i talentu... pióro wypada mi z ręki i odkładam biedny mój list na później! Dziś jednak uzbrajam się w odwagę, trzeba bowiem raz temu położyć koniec. Wszak ciąży na mnie odpowiedzialność za wszystkie przedsiębrane przez nas prace, które ucierpią, jeżeli dusze wspaniałomyślne nie przyjdą nam z pomocą.

Proszę więc pozwolić, Czcigodna Pani, naszkicować historyę naszej stacyi. Sądzę, że Czytelnicy „Echa“, kochający misyonarzy, z zajęciem śledzić będą opowiadanie cierpień naszych i wysiłków.

I. Noc Bożego Narodzenia w lesie Mayomby.

Na mapie Konga francuskiego zauważymy oddalony o dzień drogi od oceanu olbrzymi las dziewiczy, ciągnący się wzdłuż i wszerz na kilka stopni: jest to Mayomba, ocean także w swym rodzaju, ocean zieleni, schronienie tajemnicze tysięcy istot ludzkich, obszar, gdzie króluje fetysz najwyższy, Bundzi.

Do tego to lasu, dnia 20 grudnia 1905 roku, zmierzało dwóch misyonarzy z Kongregacyi Ojców od Ducha Św., udających się na rozkaz Protowikaryusza apostolskiego, Mgr. Derouet, by zatknąć tam krzyż Chrystusowy.

Tak u Ojca Pélé, jak u mnie, więcej było dobrej woli, niż monety; w największej jednak mierze posiadaliśmy ufność w Tego, który może wszystko, a nie zawodzi nigdy.

Wskazano nam, o cztery dni pochodu od Loango, interesujące plemię, grunt żyzny i odpowiedni do założenia misyi, jednem słowem — miejscowość, zwaną Nsesse... W drogę więc do Nsesse!... Jeszcze chwila, a Loango i rozproszone jego, a ubywające z biegiem czasu faktorye, Loango i te ostatnie ślady starożytnego przepychu pozostają daleko za nami... Przed nami zaś — Mayomba, las olbrzymi, przedmiot nieustannego zachwytu turysty, wygodnie podróżującego, a źródło wielu goryczy dla ubogiego misyonarza, który, jak my, nie ma innego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, oprócz nóg własnych...

Twarde próby czekały nas w ciągu tych dni kilku. Tragarze z Loango, ludzie złej woli, narazili nas kilkakrotnie na błądzenie. A co za ścieżki!... Zaczynała się właśnie pora dżdżysta, najmniejszy strumyk po pierwszej ulewie stawał się potokiem, w nocy zaś, jakby umyślnie, szeregi czerwonych mrówek przystępowały do ataku, wciskając się zuchwale aż pod kołdry. Dzięki Bogu, który podtrzymywał naszą odwagę, przygody najmniej miłe obracaliśmy w żart.

Pomimo to, oznaki zdawały się wyraźne, że wróg, wróg niewidzialny, kierował przeciw nam wszystkie swe dzieła!

Marzeniem naszem było przybycie do Nsesse w wigilię Bożego Narodzenia i odprawienie potrójnej Ofiary w miejscu przyszłej pracy naszej apostolskiej, ażeby Pan Jezus w dniu Swego Narodzenia wziął w posiadanie ziemię dotąd przeklętą!

Otóż dnia 24 grudnia, rzecby można, że w lesie nastąpiło rozpętanie wszystkich potęg piekielnych. Około godziny 4-tej po południu, burza przez cały dzień zapowiadająca się grzmotami, wybuchła z gwałtownością niesłychaną. W jednem oka-

mgnieniu ścieżka, którąśmy szli, została zalana wodą. Tragarze nasi, znużeni trudnym pochodem, pozostali daleko z pakami, w których mieścił się ołtarz przenośny, prowizye i ubranie na zmianę. Tymczasem szybko zapadła ciemność. Wobec tego, wyczerpani, zmęczeni, postanowiliśmy obozować na miejscu. Kilkakrotne rozpaczliwe wołanie nasze w nocy pozostało bez odpowiedzi. Przed nami szumiała tylko rzeka, wydająca się nie do przebycia.

Z mego polecenia, ci z tragarzy, którzy zdołali nam nadążyć, nacięli trochę gałęzi i liści „nzombi“, co nam pozwoliło utworzyć rodzaj dachu, mającego pozory schronienia, zabezpieczającego od deszczu. Nędzne to zaiste było zabezpieczenie! Woda przez nie spływała, zalewając łóżka nasze składane tak, że brzeg ich suchy służyć nam mógł zaledwie do siedzenia, i — żadnego ubrania na zmianę!... Co prawda nacóżby się ono zdało wobec takiej ulewy!

Wilgotny chłód nocy przenika nas powoli. Wiemy, że tu, pod tymi mokrymi liśćmi i butwiejącymi pniami, na czatach stoi febra... Jakże nikłem wydaje się nam istnienie nasze w ręku Boga!... Gorączka, zwierzęta drapieżne, węże i owady nawet, wszystko to — czyhający na nas wrogowie! A jednak spokój nam towarzyszy. Dla Pana Jezusa jesteśmy tutaj... Jeżeli raczy On nas dopuścić do udziału w cierpieniach Świętej Rodziny podczas tej pamiętnej nocy, wyświadcza nam tem samem największy zaszczyt... Myśl ta napełnia nas wewnętrzną radością, to też zespalając się duchem z niezliczonymi tłumy witającymi Odkupiciela świata, intonujemy pieśń naszych krajów: „Przyszło na świat Boże Dziecię...“, oraz „Cicha noc, święta noc...“ i t. d słodkie melodye,niewalające nas do zapomnienia niedoli naszej i zbliżające do Jezusa!

Tymczasem noc upływa, noc bezsenna, a raczej noc oczekiwań: czuwanie pod bronią przed walką dnia następnego.

Jeszcze nie świtało, gdy nadmiar zmęczenia pogrążył nas w ciężką drzemkę. Wtem głos nieznany budzi nas; zrywamy się na równe nogi. W głosie tym dźwięczy litość i zdziwienie: „Ah, mpelo he! Ah, mpelo he!“

To — Ngami, jeden z naczelników Nsesse, jeden z tych, którzy niegdyś przybyli do Loango z prośbą o misyonarzy. Jakim sposobem znalazł się on tutaj?... Tajemnica!... Bądź co bądź, jest to przewodnik opatrznościowy, to też pomimo deszczu, wszczynającego się na nowo, idziemy za nim do wsi poblizkiej, by rozgrzać członki nasze skostniałe u dobroczynnego ogniska w dniu Bożego Narodzenia.

(C. d. n.).



Aleja w Chipandze.

MALGASZE I MISYA W VAKINANKARATRA
(Madagaskar środkowy).

Misyonarz pewien, ze Zgromadzenia Ojców de la Salette, który 10 lat spędził w tej kolonii afrykańskiej, co pozwala mu o niej mówić ze znajomością rzeczy, podaje nam szczegóły bardzo interesujące o tamtejszych krajowcach i o apostolstwie Ojców.

Oto wizerunek moralny krajowca:

Malgasze są to dzieci. Myliłby się jednak bardzo ten, ktoby sądził, iż uchwycił duszę ich prostą a skomplikowaną zarazem. Poprzestający na małem tak co do żywności, jak mieszkania i odzienia, mówni i bystrego umysłu, Malgasze posiadają szybko budzące się okrucieństwo i kobiecą słodycz, namiętność próżnowania i wielką cierpliwość, żyłkę do handlu, ambicyę władzy, sztukę rządzenia. Przedwcześnie dojrzali osiągają prędko maximum swej wiedzy. Jak miękki wosk dają się urabiać, ale gdy pieczęć zostanie odjętą i ślad jej również ginie. Łączą nieśmiałość nadmierną z równą jej zaciętością. A nikt nie odgadnie myśli uśpionych w głębi śmiejących się ich oczu. Zawzięci — zachowują wspomnienie niezatarte złego postępowania; dobrzy i gościnni — umieją wywdzięczać się, wzruszającymi objawami wspaniałomyślności, tym, co na to zasługują.

Malgasze mają pojęcie o jednym Bogu i w swoich mowach i rozmowach wymawiają często imię Boga, *Andriamanitra*. Niema u nich wszakże ani czci Bogu oddawanej, ani kapłaństwa, ani liturgii. Wiara ich w pierwiastek duchowy lub boski, jest może przyczyną większej części ich praktyk, ordaliów (sądów Bożych, oraz czci zabobonnej oddawanej źródłom i górom. Krajowiec radzi się czarowników *(mpamosavy)*, wróżbitów *(mpisikidy)*, nosi na sobie amulety *(ody)*, albo bożki *(sampy)*. Wielkie ma poszanowanie dla zmarłych i pragnie posiąść grób rodzinny, gdzie mogłyby spocząć jego zwłoki, pokryte jednym, lub kilku *lamba mèna* (całun z ponsowego jedwabiu krajowego).

Takie są w streszczeniu główne pierwiastki, które sprostować, dopełnić, a w razie potrzeby, wytępić w Malgaszach winno opowiadanie nauki chrześcijańskiej. Pod względem moralnym krajowcy przedstawiają grunt sposobny do wychowania i do apostolstwa.

*
* *

A teraz wprowadzę Sz. Czytelników do misyi w Vakinankaratra, powierzonej WW. OO. de la Salette.

Główne jej ognisko znajduje się w Betafo.

Katolicy w liczbie 20.675 są rozproszeni po całej prowincyi. Dla dosięgnięcia ich, misya założyła 185 posterunków

wiejskich. Ludność najbardziej zgęszczona jest w Betafo i w okolicy. Tam też i katolicy gromadzą się w większej liczbie. Gorliwość ich w przystępowaniu do Sakramentów św. wzrasta z dniem każdym; niektórzy z nich przystępują codzień do Komunii św.

Proszę mi pozwolić opowiedzieć, w jaki sposób obchodzi się święto w Betafo. Mam na myśli dzień Wszystkich Świętych, gdzie, jako wiązankę duchowną osiągnięto, o czem zapewnić mogę, cyfrę 1.000 Komunii św.

Jeden z naszych katechistów Malgaszy, Bernard Ravoninjatovo, napisał w języku swym ojczystym sprawozdanie z tej uroczystości. Co za szkoda, że nie możemy pomieścić oryginału!

„Dzień Wszystkich Świętych poprzedzają rekolekcye, pod„czas których są nauki dla wszystkich dzieci poniżej lat 14. „Przychodzą one codzień, te kochane maleństwa, w liczbie 300. „Z tej ilości 25 przygotowuje się do Chrztu św., 54 do pierwszej „spowiedzi, a 79 do pierwszej Komunii św. Więcej niż 100 in„nych, które przyjęły już pierwszą Komunię, przychodzą nie„mniej gorliwie na ćwiczenia rekolekcyjne. Wszystkie te dzieci, „żarliwe i pilne, opuszczają wczesnym już rankiem wioskę i przy„biegają do kościoła dla słuchania świętych nauk tak, jak woły „na paszy biegną napić się u źródła.

„Dają one dowód czci i miłości, niemniej, jak dobrej woli, „nie bawiąc się i nie rozmawiając, nie wymawiając nawet próż„nego słowa.

„Nauki zresztą bardzo są proste i bardzo jasne. Żeby je „lepiej wyryć w umyśle słuchaczy, W. O. Rostaing, kaznodzieja „rekolekcyjny, przynosi z sobą duże i piękne obrazy."

. . . .

„Uroczystość Wszystkich Świętych. — Wielki „dzień nadszedł. Cały lud katolicki ciśnie się do kościoła, zbyt „małego w tym razie, chociaż Betafo posiada jeden z trzech „wielkich kościołów Madagaskaru.

„O godz. 9½ rano, dzieci przystępujące do pierwszej Ko„munii św., wchodzą przez główne drzwi uroczyście do kościoła; „posuwają się one w dwóch rzędach powoli i skromnie, śpie„wając hymn malgaski: *Inona izao manetsika ny foko? — Co „za słodka myśl unosi mię i zapala?*

„Na widok tych dzieci starannie ubranych, poważnych, „skromnych, torujących sobie drogę wśród obecnych, wszyscy „stoją, żeby lepiej im się przypatrzyć. W upojeniu szczęścia „czynią one pewien szmer ustami, który w tym razie oznacza „radość, serca ich przepełniającą.*)

*) Szmer ten powstaje wskutek oparcia języka o zęby i uderzania wargi górnej o dolną, co podlega kilku odmianom stosownie do zdarzeń szczęśliwych, lub nieszczęśliwych, radości lub bólu.

„W. O. Dantin, Przełożony misyi, przystępuje do poświęce-
„nia trzech nowych figur, przywiezionych z Europy, w ostatniej
„podróży: Matki Boskiej z la Salette, św. Józefa i św. Aloizego
„Gonzagi.

„Msza św. rozpoczyna się; jest to msza śpiewana z dya-
„konem i subdyakonem. Ołtarz wygląda pięknie, przybrany
„świecami, zielenią i kwieciem.

„Przed Komunią świętą W. Ojciec Przełożony ma krótką
„naukę o Przenajświętszej Eucharystyi i o uczuciach wiary,
„nadziei, miłości, pokory i żalu, jakie ożywiać powinny wogóle
„tych, co przystępują do Stołu Pańskiego, a tembardziej tych,
„co przystępują po raz pierwszy.

„Na umówiony znak 79 dzieci, mających przyjąć pierwszą
„Komunię św., wstaje i idzie dwoma rzędami, z postawą skro-
„mną, skupioną, na ucztę niebieską. Chłopcy w krótkich su-
„tannach i komeżkach, dziewczynki w długich białych welonach
„i wiankach z kwiatów na głowie.

„Po skończonej Mszy św. i dziękczynieniu, każde dziecko,
„z prawą ręką na Ewangelii, odnawia ślub Chrztu św. z tą
„formułą uświęconą:

„Wyrzekam się szatana, pychy jego i wszystkich spraw jego.
„Za Jezusem Chrystusem iść będę aż do śmierci.

„Inny uczeń głośno i poprawnie czyta, w języku Malgaszów,
„piękny akt poświęcenia się Najświętszej Pannie.

„Podczas błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, ci, co
„po raz pierwszy komunikują, śpiewają po francusku wezwania
„następujące:

„Jezu cichy, Serca pokornego, uczyń serce moje według Serca Twego!
„Jezu cichy, Serca pokornego, umieść serce moje blizko Serca Twego!
„Jezu cichy, Serca pokornego, niechaj serce moje należy do Twego!
„Jezu cichy, Serca pokornego, zapal serce moje ogniem Serca Twego!
„Jezu cichy, Serca pokornego, zamień serce moje na skarb Serca Twego!

„O niechże te kochane dzieci strzegą pilnie licznych łask,
„otrzymanych w dniu tym pięknym, a nam niech danem będzie
„jeszcze oglądać przyszłe uroczystości do tej podobne!“

Taki jest opis naiwny i pełen prostoty obchodu Wszyst-
kich Świętych; jest to utwór byłego ucznia misyi, a dziś gorli-
wego katechisty. Podziwiać tu można szlachetne uczucia wiary,
miłości, wdzięczności, kiełkujące i rozwijające się w sercach
Malgaszy.

* * *

We Francyi w chwili obecnej walka toczy się zacięta, walka o wolność nauczania. Na Madagaskarze, kolonii francuskiej, nie może być inaczej. W kraju nowym, jak ten i wobec tego, że katolicyzm i zachowanie wiary w grę wchodzą, sprawą niecierpiącą zwłoki jest niedopuszczenie, by ucierpiały szkoły wolne, przyznane przez rząd misyonarzom. Otóż kierunek tych szkół pozostaje w rękach patentowanych nauczycieli, krajowców, posiadających po większej części wychowanie niedostateczne, balast zaś wiadomości literackich i naukowych z konieczności lekki, co nie zaleca ich zbytnio wobec własnych rodaków!

Szkoły zatem wolne dla chłopców, skazane będą na wegetacyę i zupełny zanik, jeżeli nie ulegną radykalnej reformie i jeżeli nie podejmie się dla nich wielkich ofiar.

Betafo i jego okolice dostarczyć mogą 300 uczniów uczęszczających codzień do szkoły.

Od dziesięciu lat dziewczynki lepiej są uposażone, wychowaniem ich bowiem i nauką trudnią się pełne poświęcenia zakonnice od Boskiej Opatrzności z Corenc. Dlaczegóżby chłopcy mieli być zaniedbani, oni, co zostaną wkrótce przyszłymi ojcami rodzin, stając na czele ogniska chrześcijańskiego!

Inny niezbity dowód, to — działalność rządu i różnych stowarzyszeń protestanckich, mnożących szkoły swe i pensye, bez względu na wielkie koszta pieniężne.

Czyż misya katolicka z suchem okiem i rezygnacyą w sercu patrzeć będzie na takie rozwinięcie sił i machin wojennych? Mogłażby ona spać spokojnie, podczas gdy sieci ateizmu i herezyi z wprawą, ładem i dokładnością, dokoła rozpostarte? Alboż niewiadomo jej może, iż dzieci malgaskie zmuszone są do pobierania nauki tylko w szkołach przez rząd oznaczonych?

Misya katolicka nie może być obojętną na kwestyę życia i śmierci wolnego nauczania. W walce tej musi ona pozostać w szrankach, nie składając oręża. Ale do tego potrzebuje dobrej broni i walecznych żołnierzy.

— Gdzież ich szukać? — Między wychowawcami w Europie, to jest między Braćmi Szkolnymi.

Jedna rzecz pierwszorzędnej wagi absorbuje myśl misyonarza, paralizując poświęcenie, to — kwestya pieniężna.

Trzeba wielkie ponieść wydatki na budowę domu i instalacyę nowych pomocników. Pensya ich roczna będzie również wielkiem i ciężkiem brzemieniem, którego ramiona misyonarzy udźwignąć nie zdołają.

W tych warunkach kochani Czytelnicy nie wezmą mi za złe, jeżeli, acz nieśmiało, to jednak z wielką ufnością, zapukam do Ich serc współczujących i wspaniałomyślnych w celu otrzymania znacznej zapomogi pieniężnej na ***instalacyę i utrzymanie Braci Szkolnych w Betafo.***

Ostatnia wieść od zmarłego Biskupa.

Wikaryusz apostolski Sudanu X. Biskup B a z i n, pisał do nas we wrześniu 1910 r.:

„Dzięki błogosławieństwu Nieba przedsięwzięcia nasze apostolskie rozwijają się powoli na tych wielkich przestrzeniach S u d a n u C e n t r a l n e g o. Ilość naszych neofitów dosięga obecnie prawie 1.200. Katechumenów więcej, lub mniej zaawansowanych jest prawie tyle. Jest to zapewne bardzo mało obok 2, czy 3 milionów pogan i co najmniej miliona muzułmanów. Gdy się jednak uwzględni trudności i specyalne położenie nasze w kraju, tak pozbawionego wszelkich środków, winniśmy gorące dziękczynienie Panu Bogu za dobro już zdziałane i wyniki otrzymane.“

Telegram z dnia 1 grudnia, wysłany z *Kayes*, przyniósł smutną wiadomość o śmierci ś. p. Autora powyższych słów, wskutek gorączki spowodowanej wyziewawi bagien afrykańskich. Polecamy gorąco modlitwie Szan. Czytelników „Echa z Afryki“ duszę czcigodnego Biskupa.

Zmarły Dostojnik Kościoła w ciągłej był korespondencyi z naszą generalną kierowniczką, zachęcając ją stale do nieustawania w przedsięwziętem dziele, które — jak się zdaje — cenił bardzo. Wszystkie listy ś. p. X. Biskupa Bazin'a z czcią przez nas przechowywane, świadczą o tem. Spodziewamy się też mieć w nim orędownika u Tronu Bożego.

R. i. p.

ODCINEK.

NAWRÓCENIE NANGOI.

Opowiadanie W. O. Dupeyron T. J.

(Dokończenie).

Wkrótce potem miał się odbyć chrzest trojga dzieci jej starszego syna *mfumu* Charrua. Proszono ją przy tej sposobności, by pozwoliła ochrzcić jednego ze swych licznych wnuków, których wychowywała przy sobie. Z początku czyniła trudności, ale wkońcu zezwoliła. Zezwolenie to było nową łaską dla starej Nangoi i jakby nowym krokiem na drodze jej nawrócenia.

Istotnie na widok swych wnuków, chrześcijan, którzy nosili, wszyscy bez wyjątku, medaliki Maryi Niepokalanej, zaczęła oswajać się z myślą włożenia sama takiego medalika; a potem kto wie, czy ten medalik, tak chwalony, nie jest również potężnym środkiem przeciw mocy czarowników, taką obawę tu budzących!

W kilka dni później O. Arraiano wracał tryumfujący i pocieszony: „Stara Nangoi — mówił nam – ustąpiła nareszcie i przyjęła z rąk moich medalik cudowny.“

Od tego dnia mógł Ojciec wedle woli ją odwiedzać i mówić z nią *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryo* bez obawy parodyi. Ja nawet miałem dostęp do niej, bez narażenia się na jej ucieczkę, jak na widok czarownika.

Po pewnym czasie Ojciec, któremu nieco trudniej było, niż mnie, rozmówić się w języku kafrów, prosił, bym zajął się nauką naszej staruszki i przygotował ją powoli do łaski Chrztu św.

Jakże się czasy zmieniły! Nie była to już Nangoi twarda jak mur, ale pełna szacunku dla swego nauczyciela, jak małe dziecko. Dokładała też wszelkich starań do wyrycia w pamięci katechizmu i całowała przedewszystkiem medalik cudowny.

Pamięć jednak nie dopisywała, musiałem więc zadowolnić się nauczeniem jej głównych tajemnic wiary; potem widząc, że siły staruszki ustawały coraz bardziej, że z trudnością trzymała się na nogach, postanowiłem niezwłocznie udzielić jej Chrztu św.

— Słuchaj, Nangoi — mówię raz do niej — przychodzę oznajmić ci wielką nowinę, dzień wielkiego dla ciebie miłosierdzia i niezmiernego szczęścia; jutro, jeżeli Pan Bóg pozwoli, otrzymasz łaskę Chrztu św. Przygotuj dobrze twe serce, a szczególnie proś Najświętszą Pannę, naszą Matkę w niebie, by wyjednała ci potrzebne usposobienie.

— Ojcze, dziękuję! — odpowiedziała głęboko wzruszona. Ale nie obawiaj się, przygotuję się dobrze.

— Nazajutrz, ku wieczorowi, wziąłem z sobą jednego z wnuków Nangoi i skierowałem się ku jej siedzibie.

Zachodzące słońce darzyło ziemię już tylko łagodnym, niezrównanej piękności blaskiem. Znaleźliśmy naszą staruszkę w polu, o dwadzieścia może kroków od chaty, wygrzewającą się na macie. Zaledwie nas dojrzała, chciała wstać, ale dałem znak, by się nie ruszała, potem zbliżając się pytam:

— I cóż, Nangoi, czy jesteś gotową do przyjęcia łaski Chrztu św.?

— Tak, Ojcze, jestem gotową.

— Wierzysz mocno, że jest jeden Bóg we trzech Osobach: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch Święty?

— Tak, Ojcze, wierzę.

— Wierzysz, że Syn Boży przyszedł z nieba, by nas zbawić i że umarł na krzyżu dla zmazania grzechów naszych?

— Wierzę.

— Wierzysz, że bez chrztu nie można dostąpić zbawienia?

— Wierzę.

— A teraz, czy żałujesz za wszystkie grzechy, jakie popełniłaś od przyjścia do rozumu?

— Tak, Ojcze, żałuję.

— Wybierz więc imię chrześcijańskie, jakiego pragniesz.

Na to staruszka podnosi głowę i patrzy na mnie ze zdziwieniem, potem odzywa się:

— Nie, nie, Ojcze; nie do dzieci należy wybierać imiona, ale do Ojców je nadawać. Czyż nie jesteś Ojcem moim, a ja czyż nie jestem twojem dzieckiem?

— Niech i tak będzie. Ja będę ci wymieniał imiona, a ty mi dasz znak, które ci się więcej podoba.

I zaczynam od św. Imienia Maryi; ona czyni znak przeczący. Przechodzę do innego imienia i jeszcze do innego, ale zawsze to samo przeczenie. Wreszcie usłyszawszy imię Joanny, moja staruszka wyraźnie potakuje.

— Uklęknij teraz, Joanno, i podziękuj Panu Bogu z całej duszy za wielką łaskę, jaką ci w obecnej chwili uczyni.

Nangoi ze wzruszeniem klęka, a ja zlewam wodą święconą czoło szczęśliwej staruszki: „Joanno, ja ciebie chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha św.“

Medalik Niepokalanego Poczęcia dokonał tedy cudu, a biedna Joanna, która z wielkim trudem łzy powstrzymywała, mogła teraz dziękować niebieskiej naszej Matce za Jej macierzyńską opiekę, przygotowując się do oglądania Jej wkrótce już w chwale niebieskiej.

Dzień ten nadszedł prędko. Niedługo po Chrzcie świętym Nangoi położyła się. Wilią śmierci odmówiłem z nią akt żalu i udzieliłem jej rozgrzeszenia. Na pogrzebie jej bardzo dużo było ludzi. Zwłoki spoczęły na naszym cmentarzu, podczas gdy dusza, mamy nadzieję, w niebie wychwala i błogosławi Imię tak słodkie i potężne Maryi Niepokalanej.

Przywileje Kapłanów-Zelatorów.

Otrzymujemy od kapłanów, zelatorów naszej Sodalicyi zapytania, czy odnośnie do *Motu proprio* z dnia 4 kwietnia 1910 r. muszą się zwracać do św. Officyum, aby nadal mogli korzystać z fakultetów, przysługujących im, jako zelatorom i czy potrzebują z Rzymu przedłużenia tychże fakultetów, udzielonych tylko na pięć lat.

Niniejszem odpowiadamy, że zarówno o przyznanie fakultetów ze strony św. Officyum, jako też o ich przedłużenie, stara się sama Sodalicya św. Piotra Klawera, która je otrzymała dla swoich zelatorów, a ponieważ uczyniła to już dawno, przeto Szanowni Kapłani-Zelatorzy mogą nadal spokojnie korzystać z przysługujących im przywilejów.

Do Kapłanów,

Zelatorów Sodalicyi św. Piotra Klawera w dyecezyi krakowskiej.

Książęco-biskupi Ordynaryat dyecezyi krakowskiej udzielił rozporządzeniem z dnia 25 listopada z. r., L. 8325, potrzebnego zezwolenia, mocą którego kapłani zapisani do Sodalicyi św. Piotra Klawera, lub ci, którzy do niej przystąpią, mogą korzystać z następujących praw, udzielonych przez Ojca św. Piusa X, a zatwierdzonych przez *Congregatio S. Officii*:

1) z prawa nakładania odpustów tak zw. papieskich na różańce, krzyżyki, statuetki i medaliki, oraz odpustów św. Brygidy na różańce;

2) z prawa nakładania na różańce odpustów tak zwanych „krzyżackich", czyniąc nad nimi znak krzyża św.

Na przyszłość zatem Kapłani-Zelatorzy dyecezyi krakowskiej nie potrzebują czynić starań u Książęco-biskupiego Ordynaryatu o przyznanie im prawa korzystania z nadanej władzy.

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w lutym dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 2 lutego w uroczystość Oczyszczenia Matki Boskiej.

Dnia 24 lutego w uroczystość św. Macieja, Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 stycznia 1911.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: ***Zofia Popielówna.***

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu" pod zarządem A. Świerzyńskiego.